

Paulina Bukowska

*Niezidentyfikowany Obiekt Halucynogeny (2007)*

1.

Od zawsze byłem nieudacznikiem. Oprócz dwupokojowego mieszkania, które dzieliłem z ćpunem o kilkunastoletnim stażu, i dwóch sióstr w Ameryce z gromadą dzieci, w roli kur domowych i z mężami pracującymi do późna w nocy w gabinetach swych pracownic, nie miałem nic. Jedynie etykietę bezmyślnego głupka i kretyna, która pasowała do mnie bardziej niż przetarte na kolanach spodnie z lumpeksu.

Taki byłem w oczach innych – obdartuch, leń, śmierdziel, pijak, ćpun – jako że moje mieszkanie służyło za melinę dla największych narkomanów dzielnicy, którym zostało tylko coraz głębsze pograżanie się we własnym cuchnącym gnoju. Lubilem ich. Przy nich czułem się jak ktoś wyjątkowy, trzeźwo myślący, lepszy, zdolny do wielu czynów. Mogłem ich kopnąć w dupę, wziąć za bebechy i wyrzucić przez okno, poniżyć, przezywać, obrażać, a oni tylko smarkali. Smarkali i jęczeli, szukając kolejnej żyły, by wbić w nią następną zanieczyszczoną igłę.

Nie wyżywałem się na nich. Prawda jest taka, że bałem się. Nigdy nie odezwałem się do żadnego z nich, żadnego nie dotknąłem, żadnego nie uderzyłem. Brzydziłem się nimi, tak jak brzydziłem się sobą, gdy przeciskając się przez ledwo żywe zwłoki, spoglądałem w lustro w przedpokoju. Podłużna, zmęczona twarz lenia ze zmarszczkami na czole i zapadniętymi kącikami ust, drażącymi tunele w dół twarzy. Kościste policzki z kłującym odrostem i szorstką skórą. Włosy nijakie, z jednej strony przykłaśnięte, z drugiej sterczące jak po porażeniu prądem. Zero jakiegokolwiek wyrazu twarzy, oczy o rozpaczliwym spojrzeniu, powieki wółprzymknięte. Chuda

szkapa. Chuda, stara, schorowana szkapa. A powinien być rzeński, silny, młody rumak rżący radośnie.

– Iha.

Próbowałem za każdym razem, stając przed tym lustrem. Jednak zamiast donośnego okrzyku z gardła wydobywało się rżenie ochryplej szkapy wymęczonej przez życie. Przez życie, którego tak naprawdę nie było.

Niedobrze, niedobrze.

Wchodziłem do pokoju. Ciasna klitka, łóżko zaraz przy drzwiach, za każdym razem po otwarciu skrzypiących drzwi uderzałem nogą w jego drewnianą część. Telewizor z trzema kanałami, mój największy skarb, krzesło i stół. Dokoła obdarte, kiedyś zielone ściany i trzy ciuchy rozrzucone po kątach pokoju.

Cały majątek.

Gratisowo niedomykające się okno, strzelające za każdym razem, gdy szalał wiatr. Najukochańsze miejsce na ziemi. Najlepsza izolacja od świata i ćpunów w drugim pokoju. Czasem przez cienką ścianę słychać było jęki, które momentalnie zagłuszałem jakimś wybitnie głupim programem telewizyjnym. Coś w sam raz dla mnie. Wszelkie teleturnieje, seriale brazylijskie, portugalskie, hiszpańskie, mjakmiłości, dyskusje na poważne tematy i cały ten chłam należał do mojego dobowego planu, zaliczałem je dzień po dniu, łącznie z powtórkami. Blok reklamowy należał do jednej z moich ulubionych rozrywek. Kolorowi ludzie z uśmiechami przyklejonymi klejem jednym z lepszych, z włosami o zwiększonej objętości dzięki szamponowi jednemu z lepszych i skuszeni smakiem kawy jednej z lepszych. Odziani oczywiście w ciuchy jedne z lepszych. Ganiali po ekranie, niesieni złotą muzyką, w tle dzierząc w ręce najlepszy z produktów w swojej klasie. Tyle szczęścia, tyle radości, uśmiechu i On. Produkt numer jeden. Chciałem być takim produktem. Chciałem być reklamowany, występować w telewizji, być trzymanym przez najbardziej roześmiane damy showbiznesu. Chciałem być

rozwieszany na billboardach, ciesząc oko znudzonych kierowców, otwierany wraz z pierwszymi stronami gazet z wizerunkiem na całej stronie. Piękne jest życie szamponu do włosów i jogurtów niskokalorycznych.

Ja byłem sobą. I musiałem się z tym pogodzić. Nie godziłem się, buntowałem, krzyczałem i nic poza tym. Siedziałem na tyłku przed tym swoim telewizorem i gapiłem się maślanymi oczami w ekran, bez mrugnięcia, dopóki łzy nie zaczynały spływać z kącików oczu.

Czasem wyglądałem przez okno. Mały plac, trzepak, oskubane drzewa, śmierdzące śmietniki z całą ich zawartością rozsypaną wokół, ślady po wyrwanych ławkach, sucha ziemia po niegdysiejszej trawie i okoliczni pijacy z czerwonymi nosami wystającymi spod burych beretów. Czasami ich miejsce zajmowała łysa młodzież. Łyse chłopaki, łyse dziewczyny, łyse pary. Łyse głowy łysych w życiu. Zupełnie jak u mnie. Pomijając to pierwsze, gdyż lustro natarczywie przypominało mi o bałaganie na głowie. Nie chciałem mieć posklejanych, tłustych, przyklejonych do głowy strąków, czyli czegoś, co codziennie widziałem u znajomych mojego współlokatora, więc sam się podcinałem. Nie było to coś, na czym mógłbym zbić krocie, uściślając, nic bym nie zarobił na tej amatorszczyźnie. W przeciwieństwie do naszego blokowego fryzjera, który za identyczną pracę dostawał co najmniej na dwa browary. W efekcie zwiększała się ilość łysych głów w okolicznych blokach i proporcjonalnie zmniejszała się ilość osób tędy przechodzących. Trudno się dziwić, ja sam się bałem, jeśli już wyszedłem z pokoju. Zdarzało się to naprawdę rzadko, kiedy w ostateczności udawałem się po coś świeżego do spożycia, choć wytrzymywałem bez jedzenia nawet trzy dni. Jednak to naprawdę nic w porównaniu z moim lokatorem, który nie żywił się niczym poza marychą i kwasami.

Przymusowe wyjście z domu odbywało się raz na tydzień z samego rana, gdy otwierali sklepy, a w drugim pokoju zwłoki

leżały jeszcze na kanapie. Czasem, sporadycznie, ale jednak, gdy któregoś dnia dopisywał mi wyjątkowy humor, odnajdowałem w sobie siły na podbicie świata: wsiadałem w tramwaj i jechałem. Wysiadałem, gdy mi się akurat zachciało, prostowałem zgarbione plecy, by pokazać innym, jaki ze mnie chojrak. Rzucałem na kolana całą ludzkość i śmiałem się w duchu z tych marnych, zabieganych istot, nakręcanych przez niezdrowy system, który rządzi nimi jak małymi robaczkami.

Ja byłem wolny. A przynajmniej tak mi się wydawało. Szlajałem się po parkach, pustych ulicach, aż w końcu wyprężona pierś opadała, z każdym kolejnym pojawiającym się człowiekiem wracałem do dawnej postawy. I znów stawałem się tym ohydny, zapomnianym przez los, spisany na straty chłopaczkiem. Ludzie potykali się o mnie i wycierali swe idealne żakiety o eleganckie chusteczki do nosa, składane cztery razy.

W moim mniemaniu byłem nikim, ale brzydziłem się takimi jak ja, uważając ich za coś gorszego. Nie piłem, nie paliłem, nie ćpałem, choć były sprzyjające warunki. Nie spałem na ławkach i dworcach, nie podcinałem żył, nie skakałem z wieżowców. Po prostu byłem.

Egzystowałem.

Ciekawiło mnie, co będzie jutro, choć dobrze wiedziałem, że nic się nie zmieni, jedynie ludzie przechodzący przez pasy, ludzie w tramwaju, ludzie w sklepie, ludzie wszędzie. Reszta pozostanie niezmienną. Nie myślałem, że powinienem zacząć od siebie. Od obserwatora, kogoś, kto stoi z boku i patrzy na przemykające samochody, ćwierkające ptaki, zachodzące słońce. Nienawidziłem siebie, ale nie wiedziałem za co. Nie potrafiłem odnaleźć sedna, mankamentu, który wypuszczał truciznę do mózgu, choć to wszystko było podane jak na dłoni. To, co proste i oczywiste, było tak odległe i niedostępne.

Lubiłem chodzić do zoo. Zniewolone, skazane na śmierć zwierzęta i wizja dni mijających w tym samym miejscu i czasie,

który dla nich zatrzymał się już dawno temu. One nawet nie wiedziały o istnieniu innego świata. Różnica pomiędzy nimi a mną była taka, że ja miałem wybór. Życ w klatce albo wyjść do ludzi. Odpychałem od siebie tę drugą możliwość.

\*

Pewnego pochmurnego poranka, gdy siedziałem na ławce, wymieniając myśli z panterą o czarnej błyszczącej sierści, w oddali zamigotał cień osobnika o dość okazałych gabarytach. Początkowo go zignorowałem, ale kiedy zaczął zbliżać się do mojej ławki, już chciałem wstać i swoim zwyczajem oddalić się, gdy nagle z jednej osoby wyłoniła się druga. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że to nie jeden potężny człowiek, ale dwie, o zgrozo, kobiety. Jedna na wózku inwalidzkim. Zagapiłem się na nie i nim zdążyłem uciec, obie stanęły kilka kroków obok mnie, przy klatce z bardzo leniwym lwem, ucinającym sobie teraz drzemkę. Wykorzystałem okazję, kiedy wpatrywały się w śpiące zwierzę, i kątem oka obserwowałem je.

\*\*\*

Chcesz więcej? Napisz do mnie: [paulina.bukowska@gmail.com](mailto:paulina.bukowska@gmail.com)